





O Walijskim festiwalu pisała już jedna z chórzystek pani ANNA BRZOZOWSKA-KRAJKA. A cóż my moglibyśmy powiedzieć ?... Dumni jesteśmy, że mogliśmy wziąść udział o festiwalu o tak wysokim poziomie artystycznym. Jakże cennymi dla nas były wysłuchane koncerty. Nowe głosy, nowi dyrygenci z jakże różną ekspresją, władczym gestem, wyrazistością przekazywanych treści... I śpiewaliśmy w jakże innej niż zazwyczaj scenerii. Chór nasz skomponowany był we wspaniały klomb kwiatów misternie ułożonych wprawnymi rączkami eleganckich Angielek. Zapach kwiatów był szokujący - a barwne mozaiki tak piękne, jakby tchnęły żywością swego przyrodniczego temperamentu. Błyskające flesze aparatów fotograficznych utrwalały niezapomniane obrazy, magnetofony nagrywające młodzieńcze głosy reprezentujące różne kontynenty... dostojne JURY - to wszystko było tak charakterystyczne dla nastroju tego właśnie festiwalu. A nasz polski kotek / kompozycja Koszewskiego o tym właśnie tytule / zdobył sobie sympatyków wśród wielonarodowościowej publiczności... bo koty w całym świecie jednakowo przejmująco miaucząt / i kotki też /.... Miau.... u....

Popołudniowe koncerty na „zielonej trawce" zdobyły sobie licznych słuchaczy.. bo śpiew i muzyka to język który każdy szczycący się mianem człowieka - zrozumie. W tej dziedzinie naszego angielskiego życia nie byliśmy osamotnieni. Melodie polskie mieszały się z pieśniami włoskich, szwedzkich, japońskich, amerykańskich

przyjaciół. Szczególnie serdecznie bawiliśmy się z tymi Anglikami, których domy przez te kilka dni festiwalu stały się naszymi domami. Bo naprawdę z żalem żegnaliśmy gościnnych gospodarzy, ich przytulne domki, kapitalne kominki, przy ogniu których do późnych godzin śpiewaliśmy piosenki przyjaźni, słuchaliśmy płyt i sztukowaną angielszczyzną wymienialiśmy poglądy o życiu na polskiej i brytyjskiej ziemi....

Wysokogórskie tereny Walii, Chester, Londyn i wiele angielskich miast i miasteczek urzekło nas swym pięknem i „starą" elegancją. Szybko chłonęliśmy zmieniające się wciąż krajobrazy, aby utrwalić je na kolorowej taśmie wspomnień. Szumiąca Tamiza, Parlament, najwspanialsze muzea, teatry, opery - wąskie zabytkowe uliczki - tysiące barwnych wystaw - spieszący kolorowy tłum - to codzienna Anglia... czarne - potężne taksówki, Anglicy w czarnych melonikach z długimi parasolami... pałac królewski i elegancka gwardia królewska... słynny Hayde park... Wszędzie gdzie tylko zdążyliśmy - dotarliśmy - to co się dało - widzieliśmy. Dni były zbyt krótkie - a trasa długa i ciekawa... bo sam wjazd do centrum Londynu trwał kilka godzin. Klasyczny londyński „korek" - zdawał się nie mieć końca.

A tymczasem.....











gdzieś daleko, na horyzoncie bielały skały Dover, a od nich odbijał plusk fal i słychać było gwizd gotowego do odpłynięcia promu.... Żegnaj Zachodzie.....
A potem Belgia, Holandia z „wietrzystym" Amsterdamem- panorama prastarych wiatraków, kolorowych tulipanów - druga Wenecja - miasto kanałów... Wplątani w sznury pędzących aut, ciągnące potoki przechodniów - biegaliśmy po mostach, mosteczkach, wąskich - wąziutkich uliczkach tak różnych i tak podobnych pod względem architektonicznym, ze wspaniale zaopatrzonymi sklepami kolonialnymi. Dotarliśmy też do dzielnicy grających krążków - czarnego morza płyt - bezmiaru muzyki — tej prawdziwej i przyrody... wiatru, gołębi, morza i... Wszystkie czary podróży trzymały nas w swych objęciach, dopóki autokary nie zatrzymały się przed „prastarym" akademikiem na Zana... I wtedy odetchnęliśmy głęboko - bo to Polska właśnie.

